

Jan Rokita: Mityczna dekada

Cała polska polityka lat dziewięćdziesiątych podszyta była strachem o to, iż fundamenty postępu materialnego odrodzonego państwa są jeszcze tak kruche, że niemal każdego dnia mogą się załamać. I że wszystko zależy od naszej własnej umiejętności poprowadzenia polityki, w której jeden fałszywy krok może zrujnować dotychczasowe osiągnięcia – pisze Jan Rokita w felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

To ciekawy fenomen, że ostatnia dekada XX wieku aż tak bardzo obrosła własną mitologią. Niby to tylko dziesięć lat, a coraz częściej można usłyszeć czy przeczytać, iż była to cała epoka, stanowiąca punkt odniesienia, a zarazem przeciwieństwo dla czasu współczesnego. Wiadomo, że przeprowadzanie wielkich historycznych analogii jest rzeczą tyleż myślowo ponętą, co ryzykowną. Tym niemniej często odnoszę wrażenie, iż o ostatniej dekadzie XX wieku, naznaczonej polityczną i cywilizacyjną dominacją liberalnej Ameryki, zwykło się teraz myśleć tak, jak w XIX wieku patrzono na pierwszą dekadę tamtego stulecia, czyli czas hegemonii napoleońskiej Francji i jej rewolucyjnych ideałów. Oczywiście tamta napoleońska legenda była mrocznym i drażniącym punktem odniesienia dla europejskich konserwatystów co najmniej do chwili ostatecznego upokorzenia francuskiego bonapartyzmu pod Sedanem. Lecz dla rewoltujących się przez cały wiek XIX mas – była piękną ideową spuścizną, do której nieustannie jakoś próbowano nawiązywać. Różnica zatem jest taka, że

lata dziewięćdziesiąte, choć traktowane również jako punkt odniesienia dla naszych czasów, zyskały sobie współcześnie znacznie bardziej jednoznaczną negatywną konotację.

Często można się dowiedzieć, iż ostatnia dekada XX wieku – to epoka ponoć tak naznaczona piętnem głupoty i zła, że teraz dopiero z trudem wydobywamy się z odmętów, w jakie nas pogrążyła. Ów mocno poczerniony wariant legendy lat dziewięćdziesiątych jest zwłaszcza rozpowszechniony w dwóch krajach: w Polsce i w Rosji, choć w każdym z nich z całkiem odmiennych powodów. Rosjanie widzą ten okres, jako czas jeszcze jednej wielkiej smuty w swojej historii, tym razem zafundowanej ich ojczyźnie przez zokcydentalizowanych liberałów. Zaś owa czarna legenda nieźle legitymizuje dzisiejsze putinowskie samodzierżawie. Z kolei w Polsce rozpropagowanie równie mrocznej legendy tamtej dekady posłużyło jako mit założycielski rządzącej obecnie alt-prawicy. Ale prawdę mówiąc, nie widać też, aby jakoś wyraźnie lepsze zdanie o tamtym czasie mieli polscy liberałowie, rzadko i słabo występujący w jego obronie. Dość przypomnieć sławne: „Byliśmy głupcami!” niezującego już guru ówczesnych polskich liberałów Marcina Króla.

Na Zachodzie, a zwłaszcza w Ameryce, ostatnia dekada XX wieku nie ma takiej czarnej legendy. Ale od czasu głośnego eseju Roberta Kagana o „końcu marzeń i powrocie historii” (wydanego w 2008 roku) uważa się ją zazwyczaj za epokę wielkich i niespełnionych iluzji, które nawet jeśli miały w sobie rys szlachetności, to muszą być dziś traktowane jako świadectwo rozpowszechnionej naoczas głupoty. Taką głupotą miała być zwłaszcza naiwna, a rzekomo powszechna w tamtej epoce, wiara ludzi Zachodu w możliwość ustanowienia jakiejś globalnej postaci liberalnego uniwersalizmu, dzięki tryumfowi rynkowego

To nie żadna „lewicowa ideologia emancypacji”, ale konserwatywny reaganowski kapitalizm głęboko przeobraził polskość w tamtych latach, faktycznie nadając jej nową formę

kapitalizmu i politycznej hegemonii Ameryki w skali całego globu. Niemal każde zachodnie dziecko musiało słyszeć, że wykwitem owej głupoty jest sławna książka Francisca Fukuyamy, sama obrosła mitem, do

którego zwykli odnosić się autorzy setek, jeśli nie tysięcy książek i esejów na temat współczesności.

Tak się ostatnio złożyło, że choć w zasadzie nie zwykłem wychylać nosa z mojej podbieszczadzkiej wsi, to wyjątkowo miałem okazję w odstępie kilku dni wieść publiczne debaty z dwojgiem autorów nowych książek, z których obaj czynią krytykę lat dziewięćdziesiątych punktem wyjścia dla swoich rozważań. Dla Bronisława Wildsteina (którego zbiór tekstów na temat polityki i kultury wydał PIW pod tytułem: „Wobec wojny, zarazy i nicości”) – są to lata absolutnej polskiej narodowej tragedii. W tym strasznym czasie narzucono bowiem naszemu krajowi z zewnątrz bezalternatywną „lewicową ideologię emancypacji”, która ujęta w jakiś „kategoryczny imperatyw” miała „neokolonialny charakter” i wymusiła w Polsce uznanie „interesu RFN za europejskie dobro”. W ten sposób utraciliśmy *de facto* prawo wyboru najlepszej drogi dla własnego kraju. „Trzeba przyznać – pisze Wildstein – że wychodziliśmy z komunizmu w wyjątkowo niekorzystnym czasie”.

Z kolei drugi autor przypisuje ówczesną próbę stworzenia „jednego świata” starej i dobrze znanej pokusie *hybris* – „typowego dla nowoczesnego człowieka Zachodu marzenia, by żyć w ziemskim Raju”. Zaś ostatnią dekadę XX wieku obciąża winą za „rozumienie historii jako doczesnego materialnego postępu”. Trwający obecnie proces rozpadu owej jedności traktuje na podobieństwo straszliwej dla zwykłych ludzi epoki brutalnych walk diadochów, gdy odśrodkowej destrukcji ulegała uniwersalistyczna cywilizacja panhelleńska. Tym drugim autorem jest oczywiście Marek Cichocki, twórca świeżo wydanej przez PIW pięknej książeczki pt. „Walka o świat”. To zupełnie różni autorzy, a ich książki obrazują skrajnie odmienne style myślenia o świecie. Ale to co wspólne dla obu książek, to mocno wyrażone w nich przekonanie, iż właśnie teraz jesteśmy skazani na odbijanie się od epoki lat dziewięćdziesiątych, i to w coraz bardziej dramatycznych okolicznościach. Wildstein (rzecz jasna) upatruje w rządach Kaczyńskiego optymistycznej i zwycięskiej rekonkwisty przeciw tamtej epoce, przynajmniej na gruncie polskim. Cichocki ma inną perspektywę; przenikliwie dowodzi, iż nadal nie jesteśmy mentalnie przygotowani na „nieuchronny powrót dziejowego dramatu” i dopiero będziemy musieli „dostosować do niego swój dotychczasowy, całkowicie nierealistyczny, jak się okazuje, sposób życia”.

Jest dla mnie całkiem jasne, że diagnoza Wildsteina rozmija się z rzeczywistością lat dziewięćdziesiątych, które – w każdym razie dla Polski – nie były czasem narzuconej z zewnątrz bezalternatywnej ideologii, ale raczej świadomego i wymarzonego przez ruch „Solidarności” wpisywania się w „jeden świat”, pod amerykańską, a nie niemiecką hegemonią. Co więcej, owo polskie „wpisywanie się” odbywało się w niezliczonych wewnętrznych sporach i dramatycznych starciach wewnętrznych, toczących się niemal o wszystko: o wejście do

NATO, o reaganowski kształt polskiego kapitalizmu, o traktowanie komunistów, o ustrój egzekutywy państwowej i Bóg wie o co jeszcze. Trudno zaiste o czasy bardziej obfitujące w tyleż nieoczywiste co fundamentalne dylematy, jakie rozstrzygać musiała wtedy polska demokracja. A jeśli uwierzyliśmy naonczas w jakiś zewnętrzny model rozwoju, to była to wiara w siłę sprawczą rynkowego kapitalizmu, propagowanego przez Anglosasów. To nie żadna „lewicowa ideologia emancypacji”, ale konserwatywny reaganowski kapitalizm głęboko przeobraził polskość w tamtych latach, faktycznie nadając jej nową formę.

*Mocno poczerniony wariant
legendy lat
dziewięćdziesiątych jest
zwłaszcza rozpowszechniony
w dwóch krajach: w Polsce i w
Rosji, choć w każdym z nich z
całkiem odmiennych
powodów*

Ale muszę przyznać,
że mam także kłopot
z uznaniem tez
Cichockiego, jakoby
również Polska
tamtych lat dała
się zaczarować
jakiejś ideologii
„ziemskiego Raju”,
albo też bezmyślnie
uległa prostackiej i
materialistycznej

historiozofii, wedle której ludzka historia to dzieje rosnącego bogactwa materialnego. Owszem, cieszyliśmy się z pewnością amerykańskim zwycięstwem w zimnej wojnie, traktując tamtą chwilę, jako wyjątkowe okno historii, w którym otworzyła się szansa trwałej odmiany dotychczasowego polskiego losu. To właśnie ten fenomen krótkotrwałej łaski ze strony historii zauważył papież Wojtyła, z poczuciem humoru rzucając w sejmie zdanie pełne zdumienia: „Ależ nam się wydarzyło!” Ale czas jelicynowskiej liberalizacji i słabości Rosji polska elita

polityczna, po kilku latach sporów, postanowiła jednak wykorzystać dla schronienia się pod parasolem NATO, na wypadek jakiejś niebezpiecznej przyszłości.

I tak samo było z wiarą w trwałość materialnego postępu. Cała polska polityka lat dziewięćdziesiątych podszyta była strachem o to, iż fundamenty postępu materialnego odrodzonego państwa są jeszcze tak kruche, że niemal każdego dnia mogą się załamać. I że wszystko zależy od naszej własnej umiejętności poprowadzenia polityki, w której jeden fałszywy krok może zrujnować dotychczasowe osiągnięcia. Zresztą jeszcze mniejszy brak wiary w postęp materialny wykazywali ówcześni niemieccy chadecy, mający poczucie zagrożenia ich kraju narastającym kryzysem. Kurt Biedenkopf, będący chadeckim autorytetem, przestrzegał swoich wyborców, iż muszą wiedzieć, że era wielkiego boomu się skończyła, zaś następnemu pokoleniu Niemców przyjdzie po raz pierwszy od wojny żyć w gorszych warunkach niżli ich rodzicom. Trzeba przyznać, że w XXI-wiecznej demokratycznej polityce tego rodzaju polityków nie ma, a nawet już być ich nie może. Całkiem możliwe zresztą, iż źródłem współczesnych mitów na temat ostatniej dekady XX wieku jest właśnie fakt, iż były to lata nieporównanie mocniej naznaczone politycznym idealizmem niżli nasz czas dzisiejszy. A jeśli tak, to byłby to jeszcze jeden powód dla szukania raczej analogii pomiędzy tamtymi czasy i krótką epoką napoleońską, aniżeli odległymi wiekami rozbłysku i rozpadu świata panhelleńskiego.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
